

Czerwec Paweł

Prawdziwa opowieść o prawdziwych czarnoksiężnikach

Z „Science Fiction”

W poprzednich odcinkach dwaj barbarzyńcy: Kwoka i Buhaj, wędrując po świecie, awansowali do miana rycerzy oraz uwikłali się w sprawę porwania pięknie pozłacanej księżniczki. Po drodze przyczynili się do sukcesu misji pewnego Harnasia, odkrywając przy okazji, że niezbadane są ścieżki, którymi kroczą serca niewieście.

Prolog

– Rycerski rumak musi mieć imię – tłumaczył Buhaj, by zabić czymś nudę podczas wędrowki. – Wtedy może czuć się dumny.

– *Ja mam imię!* – parsknął Arwentos. – *Tylko jak wam to wytłumaczyć?*

– Taaak? – Kwoka wyraźnie był nie w humorze. – A twój ma imię?

– Oczywiście. – Buhaj wyprężył się dumnie w siodle.

– A jakie?

– Byk.

Kwoka i Byk popatrzyli na siebie wymownie.

– Jeździsz na koniu, który nazywa się Byk? – upewnił się wielobarwny rycerz.

– Aha – odparł mniej dumnym głosem Buhaj, wyczuwając podstęp. – Jak wielki, groźny, czarny byk!

– Buhaj na Byku. – Pokiwał głową Kwoka. – To wiele tłumaczy.

* * b* * *

Haccliff, barczysty, ale niewysoki i lekko przygarbiony mężczyzna o bujnej, czarnej fryzurze, oderwał mroczne spojrzenie od jaśniejącej różową poświatą kryształowej kuli. Zaklął głośno.

– I jak tam? – zapytał jego mistrz z wysokości swego posępnego tronu.

– Biją się – odpowiedział głosem przypominającym dźwięk, jaki wydaje otwierające się wieko trumny. Bardzo starej trumny. – Jak zwykle. Oni ciągle się biją.

Mag Vidoczek pokiwał z rezygnacją głową. Z ulgą wstał z posępnego tronu, odpowiednio wymownego, mrocznego i tradycyjnego, ale równocześnie wściekle niewygodnego, i podszedł do kryształowej kuli otoczonej wianuszkami mniejszych sióstr. Cała ta rodzina sfer spoczywała na okrągłym stole zrobionym z czarnego czegoś. Vidoczek odziedziczył go po swym mentorze. Nigdy nie zapytał o materiał, z którego posępny, mroczny i tak dalej stół został stworzony, a sam wolał nie sprawdzać.

Pochylił się nad różową kulą. Rzeczywiście się bili. Znowu.

A jednak ciągle zbliżali się do jego wieży. I wydawało się, że nic nie może ich powstrzymać.

1

Puszczykowaty pozwalał się karmić Przywołance, usiłując zachować resztki godności. Średnio mu to wychodziło, bo głaśkała go po głowie niczym słodkiego kundelka.

– Mhmmmpm, mhhmp – pomrukiwał między jednym a drugim kęsem. – Kiedyś go zabiję, wiesz? Ale nie od razu, nie, nie, nie! Najpierw się nim trochę pobawię. Tak z tysiąc lat.

Przywołanka udawała, że kiwa z zainteresowaniem głową. Wysłuchiwała utyskiwań Puszczycowatego od ponad stu pięćdziesięciu lat i zdążyła już do nich przywyknąć. Kiedyś pomyślała nawet, że mogłoby jej zabraknąć jego ciągłego narzekania, gdyby jakimś cudem przestał się dąsać na cały świat.

– Tym razem przesadził! – warczał Puszczycowaty, przełykając ostatni kąsek jakiejś nieszczęsnej myszy.

– Ty wiesz, co mi kazał robić? Musiałem przeszukać tysiąc uroczych stogów siana! Piękny tysiąc, rozumiesz!

– Stogi siana? – zainteresowała się Przywołanka. – A po co?

– Szukałem śliczniutkiej igły! – burknął demon, przywołany przed laty z jednego z wyższych kręgów piekieł. Czekano go wiele wieków ponizającej służby, nim miał awansować do któregoś z niższych. – Pięknej, dobrego serca igły! – zaklął zwyczajem demonów. – Na miłość!

Przywołanka, choć należała do demoniego rodu, spędziła wśród ludzi tak wiele czasu, że miłość nie kojarzyła jej się już tak najgorzej. Zwłaszcza gdy myślała o swoim panu, magu Vidoczku.

– Miłość... – powtórzyła tęsknie. – Ciekawe, po co mu była igła?

– A na dobro mu igła! – nastroszył pióra Puszczycowaty. – Chciał mnie poniżyć, ot co!

– Może robi to dla twojego... – przełknęła dobre słowo – ...dla przybliżenia twojego sukcesu? Wiesz, im więcej upokorzeń na służbie człowieka, tym większy awans.

– Radość i szczęście na jego intencje! – prychnął Puszczycowaty. – Ty wiesz, co to znaczy przeszukać tysiąc stogów siana w poszukiwaniu zachwycającej igły??? O, deser! – zmienił niespodziewanie temat. Obok nich przemknęło stado złożone z dziesiątek myszy. Puszczycowaty obserwował je łakomym spojrzeniem.

– To nie deser! – powstrzymała go Przywołanka. – To wiadomość!

Myszy minęły ich i pognały do Sali Tronowej, gdzie Vidoczek i Haccliff przyglądali się z uwagą różowawej kuli. Ustawiły się w rzędzie i pisnęły chórem, by zwrócić uwagę magów. Gdy spojrzeli na nie, pisnęły raz jeszcze i, chwytając nawzajem w pyszczki ogonki, ułożyły się na podłodze w napis:

PRZYBYWAJ NIEZWŁOCZNIE!

Haccliff złożył odruchowy ukłon.

– Ojciec Ciemności cię wzywa, mistrzu!

Myszy pisnęły ponownie na znak przybywania nowej wiadomości:

TO WAŻNE!!! NIE KAŻ MI CZEKAĆ!!!

Pisnęły, rozproszyły się i uciekły.

– Mistrzu, czy mogę pójść z tobą? – spróbował Haccliff. Od lat marzył, by spotkać się z Ojcem Ciemności, a Vidoczek uparcie odmawiał mu tego szczęścia.

Nie inaczej stało się i tym razem.

– To chociaż wspomnij mu o Kościeju, mistrzu! – poprosił Haccliff. – Na pewno go to ucieszy!

– Jego nic nie cieszy – ponury głos maga nie był udawany, lecz oddawał jego rzeczywisty nastrój. – Jest Ojcem Ciemności, na Mroki!

– Ale wspomnisz mu?

– Dałbyś już spokój sobie, mnie i wszystkim innym z tym Kościejem – warknął Vidoczek, przeszukując skrzynie w poszukiwaniu najciemniejszej z ciemnych ceremonialnej szaty.

– Ale on by ich załatwił! – zawołał Haccliff. – Mistrzu, on by ich pokonał!

Mag parsknął tylko pogardliwie i wyszedł.

– Zobaczysz! – wysyczał za nim Haccliff. – Zobaczysz! Przywołam Kościeja, a on ich załatwi!

A potem...!

Zachichotał i już miał się zanieść diabolicznym rechotem, gdy przeszkodził mu kaszel. Zirytowany nekromanta klasnął w specjalny sposób.

Jego sługa, Składek, przybył natychmiast. Nie należał do potężnych demonów, nawet ranga Puszczycowatego była nieosiągalna dla tej dziwnej istoty poskładanej z ezoterycznych resztek kilkunastu demonów. I choć Haccliff napracował się, by Składek wyglądał odpowiednio demonicznie, nie było takiego kręgu piekielnego, który przepuściłby przez swoje progi owo przerażające pomieszanie z poplątaniem.

Składek nienawidził w efekcie swego twórcy z całego czarnego, płonącego serca. Równocześnie jednak życzył mu sukcesu, żywiąc nadzieję, że przysłuży się on i jego karierze.

– To przez te pyłki, szefie! – wymyślił – Za dużo czasu spędzasz na mieleniu kości!

* * * * *

Vidoczek schodził niespiesznie po krętych, wąskich i zdradziecko osypujących się kamiennych schodach, prowadzących do najciemniejszej z piwnic. By do niej dotrzeć, musiał pokonać korytarz przemieniony w pole łowieckie Puszczykowatego. Myszy, których maleńkie umysły nie były już kierowane wolą Ojca Ciemności, piszczały przejmująco, a Puszczykowaty śmiał się dziko. Wszystko to tworzyło rwetes nie do zniesienia. Pośrodku zamieszania, na starej ciężkiej komodzie przyciągniętej nie wiadomo skąd i po co, siedziała Przywołanka, obejmując kolana smukłymi ramionami. Odprowadzała maga tęsknym czarnookim spojrzeniem. Owo spojrzenie, jak zawsze, i tym razem skłoniło Vidoczka do przyspieszenia kroku. Powinien był już dawno odesłać demonicę. Najpóźniej wtedy, gdy zmieniała strzępy mamuciego futra, służące jej od wieków za całe przebranie, na powłóczyście czarne suknie lub, co było jeszcze gorsze, na obcisłe wdzianka z skóry węży. Przywołanka potrafiła być naprawdę piękna, jeśli się postarała. I jeśli komuś nie przeszkadzały niewielkie, poczwórne, lekko przechylone ku tyłowi rogi i szarawe skrzydła zwinięte na plecach. No i jeszcze łuski osłaniające kręgosłup i nieduże, lecz przecież obecne, szpony u stóp, i niewielkie kły, i...

Odpędził myśli pełne pokus. Wystarczało mu kłopotów z jedną babą, nie potrzebował ściągać sobie na głowę drugiego nieszczęścia. Dlatego powinien był odesłać Przywołankę. Niestety, ilekroć próbował, patrzyła na niego tymi smutnymi, pozbawionymi białek oczami i zawsze w ostatniej chwili dochodził do wniosku, że to jeszcze nie czas.

Dotarł do starożytnej kamiennej bramy. Otworzył ją pomniejszonym zaklęciem i, dostosowując wzrok do panującej wewnątrz nieprzeniknionej ciemności, podszedł do kamiennej studni wyznaczającej środek najniższej z piwnic.

HA! JESTEŚ W KOŃCU!

Ojciec Ciemności kłębił się po swoim. Jego głos brzmiał dudniąco i ochryple. Vidoczek ukląkł na lewe kolano i oparł lewą dłoń na piersi, naturalnie lewej.

DŁUGO KAZAŁEŚ NA SIEBIE CZEKAĆ!

Ojciec Ciemności dziwnie pojmował czas. Zwykle utrzymywał, że stoi ponad nim, bywało jednak, że przypominał Vidoczkiemu nerwowego majordomusa zerkającego co chwilę na klepsydrę. Prawdopodobnie postrzegał inaczej czas przeznaczony sobie, a inaczej maluczkiemu.

Vidoczek, który już dawno temu przestał zaliczać siebie do maluczkiemu, nauczył się ignorować jego humory.

CO Z NASZYM PLANEM?

Zaczynały się kłopoty.

– Pracuję nad tym, Ojciec Ciemności.

NAD CZYM TU PRACOWAĆ? MASZ DZIEWCZYNE, TO JĄ ZABIJ!

W mrocznym umyśle Ojca Ciemności wszystko wydawało się proste. Możliwe, że ktoś, kto żył tak długo, że był niemal odwieczny, gardził złożonością rzeczywistości śmiertelników. Z drugiej strony, pomyślał Vidoczek, jeśli ktoś przez całe tysiąclecia ma do dyspozycji wyłącznie rozmówców odpowiadających z pozycji kolan, może utracić umiejętność przejmowania się drobiazgami.

– Istnieją pewne komplikacje, Ojciec Ciemności.

KOMPLIKACJE? ZABIJ JE.¹ UNICESTWIJ.

– W swoim czasie, Ojciec Ciemności. Na razie wydają mi się interesujące.

Kłębiący się stwór buchnął śmiechem.²

**TY I TA TWOJA CIEKAWOŚĆ! JAK POŻYJESZ DŁUŻEJ, ZROZUMIESZ, ŻE TO BEZCELOWE!
ŚWIAT WYPEŁNIONY JEST NIEKOŃCZĄCĄ SIĘ NUDA, KTÓRĄ ZABIĆ MOŻE JEDYNI
NIEKOŃCZĄCE SIĘ CIERPIENIE!**

Filozofia w sam raz dla Haccliffa, uznał Vidoczek. Ci dwaj dogadaliby się błyskawicznie.

Między innymi dlatego nie wpuszczał swego ucznia do najgłębszej z piwnic.

Przypomniawszy sobie, że lekcje Ojca Ciemności wydawały mu się kiedyś interesujące. Dawno temu, w czasach, gdy uważał, że aby zostać największym z magów, musi poznać wszelkie szkoły magii. Tak białą, jak i czarną.

– Mam ponad siedemset lat – wypomniawszy Ojcu Ciemności.

PHI!

No tak. „Phi”. A jednak, podczas gdy Ojciec Ciemności ostatnie siedemset lat spędził w swojej mrocznej i ciemnej dziurze ledwoświata, Vidoczek poświęcił je na doskonalenie umiejętności. Czasem zastanawiał się, czy jego mentor dałby sobie radę w dzisiejszych czasach. Ojciec Ciemności żywił bowiem przekonanie, że ludzie to ciągle jedna z ostatnich ras, a światem rządzą nadal jaszczurzy Silliridzi lub przybyli po nich kamiennoskórzy Oherzy, któraś z tych aroganckich starożytnych ras traktujących

rzeczywistość niczym prywatny plac zabaw.

Czarownik złożył zwyczajowy pokłon i czym prędzej opuścił najgłębszą z piwnic. Spróbował schować się przed podłym nastrojem w gabinecie, do którego nie wpuszczał nawet najbardziej zaufanych sług. Dzięki solidnym zabezpieczeniom zdolnym powstrzymać najprzemysłniejsze nawet chochliki, panował tam nieopisany porządek, jaki wzbudzić musiałyby mdłości choćby u najpośledniejszego z demonów. W przeciwieństwie do swych kolegów po fachu oraz większości służących Vidoczek nie przepadał za walającymi się po podłodze czaszkami, magicznymi księgami fruującymi pod sufitem i całym tym chaotycznym stylem mającym podkreślać charakter złego maga.

Starożytne, jak i całkiem nowe księgi stały równo poukładane na solidnie wyglądających półkach, wolnych od kurzu dzięki opracowanemu naprędce zaklęciu. Vidoczek zapadł w cieniu swej biblioteczki w masywnym, miękkim fotelu. Naprzeciw niego, na bielutkiej u zarania ścianie, mrowiło się tysiące symboli jego równania losu, dzieła, któremu Vidoczek poświęcił większą część swojego życia i które miało znaczący wpływ na losy maga.

To, że każdej istocie jest przypisany z grubsza jej los, nie stanowiło tajemnicy nie tylko dla żadnego z magów, ale nawet i byle wiejskich filozofów. Pokolenia mędrców i ich naśladowców biadoliło na temat przeznaczenia bądź wyśpiewywało mu hymny. Jednak dopiero Vidoczek, obdarzony raczej analitycznym niż artystycznym umysłem, doszedł do wniosku, że skoro większość rzeczy na świecie daje się opisać we wzorach, nie inaczej powinno być z ludzkim losem. By dowieść słuszności tej myśli, a przy okazji odkryć, kim jest i co go czeka, rozpoczął pracę nad równaniem mającym opisać jego, Vidoczki los. Praca zajęła mu blisko siedemset lat i daleka była od zakończenia.

Równania magiczne różniły się nieco od tych znanych uczonym próbującym zapisać świat w liczbach. Każdy z symboli odnosił się do kilkunastu aspektów równocześnie, aspekty świata są bowiem złożone i wielowymiarowe. Co więcej, w miarę upływu lat symbole niemal same z siebie zamieniały się miejscami, wskazując czarownikowi nowe ścieżki rozwoju i domysłów. A przy tym wszystkim Vidoczek, który doświadczył już zarówno dobra, zła, jak i bylejakości, czuł, że jakiś aspekt rzeczywistości wciąż mu umyka. Dlatego jego wzór, choć niemal idealny, był jednak do niczego.

Kilkanaście lat temu wydawało mu się, że znalazł rozwiązanie. Uznał, że powołaniem największego z magów jest osiągnięcie boskości. Odszukał w księgach starożytną historię o Jeleraku i studiował ją przez dwa lata. Właśnie w trakcie tej lektury odczuł pierwszy poważny niepokój, pogłębiany późniejszymi badaniami.

Czyjeś krzyki przerwały mu rozmyślenia. Ułożył w myślach zaklęcie uciszające, jednak powstrzymał się, gdyż wśród głosów rozpoznał ponure powarkiwanie Haccliffa. Ponieważ zaś wszystko, co tyczyło się jego pomocnika, wiązało się zwykle ze spiskami przeciw niemu, Vidoczek uznał za stosowne zainteresować się sprawą.

W tym celu musiał powędrować piętro niżej, gdzie Haccliff, ku rozbawieniu swego pana, zorganizował Akademię Magii. Nekromanta spędził pięć lat na zwiedzaniu królestwa w poszukiwaniu uczniów.

W końcu przyprowadził do Vidoczki wieży sześcioro pacholąt o bardzo przejętych spojrzeniach. Wyruszając w podróż, zarzekał się, że powróci, prowadząc dzieci najznakomitszych rodów, na oko Vidoczka zadowolili się ostatecznie potomstwem wieśniaków. „Moc jest w nich silna!” – oznajmił, kuląc się pod drwiącym spojrzeniem czarownika – „Jeszcze zobaczysz!”

Vidoczek doskonale zdawał sobie sprawę, co miał zobaczyć. Nie było dlań tajemnicą, że Haccliff miał nadzieję sformować z dzieciaków mały oddział, który we właściwym momencie wspomógłby go w konfrontacji z mistrzem. Mag pozwolił jednak słudze zorganizować upragnioną szkołę i nawet poświęcił na jej rzecz jedno piętro wieży. Prawdę mówiąc, żywił przekonanie, że poradzi sobie z nimi wszystkimi, a samo starcie mogło być przynajmniej zabawne.

Zastał swego sługę otoczonego pięcioosobowym wianuszkim wyznawców. Wszyscy wpatrywali się groźnie w niewielką uczennicę, wyraźnie rozdartą między pragnieniem wyglądaną potulnie a czupurnie. Haccliff, w przeciwieństwie do niej, doskonale widział, czego chce, i bardzo starał się przyjąć wygląd dostojny. Przybrał postawę podpatrzoną na jakichś starych rycinach – złożył ręce na piersiach i spoglądał na małą z góry, niczym największy z możliwych autorytetów. Niestety, na rycinie nie dało się zobaczyć, jak winny przemawiać autorytety, dlatego Haccliff, miast udzielać nauki głosem pełnym powagi, warczał.

– Co to jest? – powtarzał, wyraźnie tracąc cierpliwość. – Co to jest!

Podchodząc bliżej, Vidoczek zorientował się, że dziewczynka stara się zasłonić coś własnym ciałem. Ponieważ było ono raczej niewielkie, zasłanianie coś także nie mogło raczej należeć do olbrzymów.

Stanął za uczniami i delikatnie trącił w ramię jednego z nich.

– Co tu się dzieje? – zapytał szeptem.

– Ta durna Brenka chciała sama zabawić się przywołaniem – zachichotał w odpowiedzi Ośko, szykujący się, by pójść w ślady nauczyciela i zostać nekromantą. – I teraz, głupia, za to oberwie!

W ostatnim słowie triumf zgasł niespodziewanie, gdy Ośko uświadomił sobie, że wszystkich swoich kolegów i nauczyciela ma przed sobą. Odwrócił się prędko, by spojrzeć, któż to zakradł się na zakazane szkolne korytarze, i zamarł.

– Pan nadprofesor! – zawołał.

Pozostali uczniowie odwrócili się jak na komendę. Vidoczek należał do rzadkich widoków na szkolnych korytarzach, a innych nie wolno było im odwiedzać. W efekcie nie widywali go zbyt często.

– Mistrzu! – zdumiał się Haccliff. – Co mistrz tu robi?

– Hałas nie pozwalał mi się skupić – wyjaśnił usłużnie Vidoczek. – Co tu się dzieje?

– Małe kłopoty edukacyjne – burknął niechętnie Haccliff. – Brak doświadczenia z czarami i samowolne użycie magii zaowocowało – zastanowił się – kompromitacją.

– Wcale że nie! – zaprotestowała Brenka, ku konfuzji Vidoczka najwyraźniej nabrawszy na jego widok odwagi. Zdecydowanym ruchem otarła łzy już szykujące się do wypłynięcia z ogromnych oczu i przybrała bardzo zdecydowany wyraz twarzy.

– Oho-ho! – pozwolił sobie na odrobinę rubaszości Vidoczek, czując, że sytuacja zaczyna go bawić. – A cóż to panna ośmieliła się zrobić?

– No więc narysowałam pentagram przywołania. – Głos małej aż pęczniał z dumy. – Bo wie pan, panie nadprofesorze, chciałam mieć przywołańca. Bo ja tu jestem sama jedna, chłopaki nic nie rozumieją i chciałam mieć przyjaciela!

– To tak nie działa! – zawołał Haccliff załamując ręce. – Nic nie rozumiesz! Przywołańcy nie mają być przyjaciółmi, tylko sługami! Nawet wiejskie czarownice to pojmują!

– Tak więc narysowałam pentagram – wrócił do tematu Vidoczek, mając nadzieję, że jego głos brzmi jak osoby nieskończenie cierplivej. – I...

– I zapaliłam świece. Wszystkie czarne...

– Ukradła je z magazynu – doniósł usłużnie Ośko.

– Chociaż tyle złego – ucieszył się ku rozczarowaniu swego wielbiciela Haccliff.

– A skąd miałam wziąć? Przecież nikt by mi nie dał, gdybym poprosiła, prawda? Poza tym to nie była kradzież, tylko takie pożyczenie na... na... Na jakiś czas!

Haccliff jęknął. Jego dusza pedagoga cierpiała.

– Miałaś więc świece... – podsunął Vidoczek. Cierpliwa osoba w nim cichła.

Mała chyba to zrozumiała.

– Zapaliłam świece, zamknęłam oczy i wygłosiłam przywołanie! – powiedziała szybko. – I udało się! Uśmiech triumfu rozświetlił jej twarz, rozciągając się niemal od ucha do ucha.

– Taaak – roześmiał się któryś z uczniów. – Prawdziwy sukces!

– Przywołałaś coś? – zaciekawiał się Vidoczek. – Jestem pod wrażeniem.

– Tak! – zawołał dramatycznie Haccliff i zdecydowanym ruchem odsunął dziewczynkę, odsłaniając to, co dotąd kryła za plecami. – Przywołała TO!

Mała, przypominająca na pierwszy rzut oka biały puchaty obłok owieczka zamrugła nieśmiało do Vidoczka i zameczała przymilnie.

Czarnoksiężnikowi nie udało się powstrzymać wybuchu śmiechu. Lata mrocznej praktyki zrobiły przy tym swoje i szalona radość złego maga sprawiła, że uczniowie, a nawet Haccliff skulili się z trwogą, zaś owieczka schowała się na powrót za swoją nową panią.

Nieco skonfundowany Vidoczek przerwał w połowie szczególnie dzikiego i porywającego „HA!” Brenka patrzyła na niego z wyraźnym wyrzutem. A w jej ogromnych oczach mieściło się bardzo wiele wyrzutu. Za to Haccliff wyraźnie się ucieszył.

– Właśnie! Najznakomiciej ująłeś to, mistrzu! – roześmiał się głucho. – Cóż za pocieszna kompromitacja! Niebieskie oczy Brenki wyraźnie pociemniały, przyjmując barwę raczej granatową. Na tym tle pojawiły się iskiereki błyskawic.

– Kompromitacja – powtórzył za Haccliffem Vidoczek, nachylając się nad nekromantą. – Zaiste! Pytanie tylko: czyja?

Śmiech Haccliffa urwał się gwałtownie, przechodząc w coś na kształt kaszlu.

– Moim zdaniem to bardzo udane przywołanie! – oznajmił Vidoczek, w głębi duszy krztusząc się ze śmiechu. – Samodzielne, jak rozumiem, bez właściwego przygotowania... Gratuluję koleżance sukcesu!

Błyskawice w oczach Brenki zniknęły wyparte przez rozbłysk tysiąca słońc.

– Naprawdę? Och, jest pan cudowny, panie nadprofesorze!

– Ech... no tak... Bardzo... hm... znakomita owieczka! – powiedział, dostrzegając kudłaty łebek wychylający się nieśmiało zza zdecydowanie mało mroczno-magicznie czerwonej spódnicy dziewczynki.

– To nie zjemy jej na kolację? – spróbował jeszcze Osko.

Vidoczek, choć pełen podziwu dla jego uporu i lojalności wobec nauczyciela, zmarszczył groźnie brwi.

– Chciałbyś, chłopcze, zjeść przywołańca? – oburzył się widowiskowo. – Czy któryś z was, panowie, może się pochwalić podobnym sukcesem? Czy któryś z was ma już swojego przywołańca?

Satysfakcja zniknęła z ich twarzy. Pospuszczali głowy.

– Doprawdy! – pokiwał głową Vidoczek. – Bierzcie się więc za naukę, bo widzę, że macie spore braki! Nuże!

Gdy uczniowie rozpięzchli się po pokojach, Vidoczek poklepał wyraźnie zniesmaczonego Haccliffa po ramieniu.

– Gratuluję! Najwyraźniej odkryłeś prawdziwy talent!

Mrugnął do Brenki i jej owieczki i odszedł bardzo z siebie zadowolony.

Paskudne myśli dopadły go dopiero, gdy wrócił do siebie i spojrzał na równanie.

Symbole wirowały jak szalone.

2

– Nazwę go „Harnaś”! – oznajmił Kwoka, krzywiąc się, bo żebra bolały go po ostatniej bójce. – Jak dla mnie, to brzmi bardzo dumnie.

Buhaj odburknął tylko coś w odpowiedzi. Rozbita warga przeszkadzała mu w mówieniu.

Burknięcie nie zabrzmiało jednakowoż przychylnie. Nie dla uszu Kwoki.

– Nie podoba ci się, co? A dla mnie „Harnaś” brzmi dumniej niż „Byk”.

Buhaj posłał mu paskudne spojrzenie. Ze wszystkich sił starał się nie dać sprowokować.

– *Harnaś!* – parsknął za to rumak Buhaja, Byk. – *Boki zrywać!*

Arwentos opuścił łeb, by pomyśleć.

– *Ten Harnaś, cośmy go poznali był szlachetnym i odważnym mężem* – odezwał się po chwili. – *Wydaje mi się zaszczytnym nosić imię na jego pamiątkę.*

– *Taaaa.... Spodobało się jaśnie pańskiemu konikowi, jak go klepał po zadzie, co?* – zarżał Byk. – *Milusiński!*

Chwilę później dwóch zdumionych rycerzy o barbarzyńskim rodowodzie siedziało na ziemi i wpatrywało się z niedowierzaniem w swoje niezwykajnie ożywione rumaki.

3

– Nawet ich konie się ze sobą biją! – Przywołanka z niedowierzaniem pokręciła głową. – Nie rozumiem, jak ktoś, kto nie umie zrobić dwóch kroków bez kłótni, może być zagrożeniem dla naszego mistrza?

– No nie wiem – pokusił się o rozważania Puszczykowaty. – Myślę, że jak ktoś się ciągle bije, to musi nabrać w tym piękniutko dużej wprawy.

Demony unosiły się nad różową kulą i dumaly, jak powstrzymać tych wszystkich dziwnych przeciwników swego pana. A wyglądało na to, że zebrało się ich sporo.

– Ci są ślicznie dziwni. – Puszczykowaty wskazał dwóch brodatych mężczyzn zbliżających się ku wieży.

– Za radość nie rozumiem ich postępowania. Ni to przeszkadzają, ni pomagają... Nic nie rozumiem.

– Mają swoje plany – oceniła Przywołanka, nie poświęcając jednak uwagi kuli wskazanej przez przyjaciela. Znacznie bardziej niepokoiła ją sfera pokazującą jedynie mgłę.

– Mistrz powinien pozabijać ich wszystkich i tyle – zdecydował zniecierpliwiony Puszczykowaty. – Przy okazji, gdzie on jest, do szczęścia?

Przywołanka przymknęła oczy. Natychmiast posmutniała.

– U niej – powiedziała cicho.

* * * * *

Zrobiłem to na złość Haccliffowi, dumał Vidoczek, przyglądając się Melidrannie z Borsuczej Kniei, zwanej gdzieniegdzie Złotkiem. Złotoskóra dziewczyna, starannie ignorując czarodzieja, poprawiała złotą fryzurę. Dyskutowała przy tym zawzięcie z magicznym zwierciadłem próbującym przekonać ją do niezwyklej zamorskiej mody. Problem polegał na tym, że nijak nie potrafiło wytłumaczyć, jak funkcjonuje dziwne zapięcie włosów z tyłu głowy. Ponadto wszystkie mieszkanki dalekich krajów były brunetkami i Melidranna nie miała pewności, czy takie uczesanie pasować będzie do jej włosów.

Zwierciadło wspięło się na szczyty możliwości, próbując przedstawić, jak mogłoby to wyglądać, jednak księżniczka wyraźnie nie doceniła heroicznego wysiłku lustrzanego doradcy.

Kierowała mną czysta złośliwość wobec tego błazna, tłumaczył sobie cierpliwie Vidoczek. A jednak zrobiłem coś dobrego. Zaraza z tym dobrem! Wciska się wszędzie! Czy liczą się moje podłe intencje, czy dobry skutek?

Problem ten nie po raz pierwszy gnębił Vidoczka, który już dawno przekonał się, jak ciężko być złym. Po początkowym okresie entuzjazmu i zachwytu nowymi możliwościami zaczął powoli odkrywać przykre ograniczenia swego charakteru. Dla przykładu – podziwiał odwagę, sam także bywał odważny, ilekroć miewał ku temu okazję. To, wraz z wzrostem jego potęgi, musiał przyznać, zdarzało się coraz rzadziej. Niemniej ciągle szanował odwagę. A przecież nie była ona ściśle złą cechą. Ba, stanowiła nawet cechę – wstyd przyznać – dobrą!

Dobro jest podstępne, mruzczał poirytowany. Człowiek może strawić stulecia, cierpliwie kultywując skażenie swojej duszy, a wystarczy chwila nieuwagi i siup! Już wszystko anieli biorą! Ale może liczą się intencje?

– Ach, to ty? – raczyła zauważyć go Melidranna. – Czego chcesz?

Na przykład ona, trudził się rozważaniem mag. Piękna i na swój sposób niewinna. A przy tym złośliwa jak osa. Jest dobra czy zła? No, w powszechnym odbiorze, oczywiście dobra. Ale czy mnie interesuje powszechny odbiór? Może jest dobra tylko na moim tle? Ale ja z kolei... Hm. No nic, spróbujmy.

– Uratowałem dziś owieczkę – pochwalił się, ciekaw jej reakcji.

– To interesujące – odpowiedziała, nie odwracając wzroku od zwierciadła kuszącego ją obrazkowym wywodem, wskazującym na związek zagranicznych fryzur z egzotycznymi sukniami. – Przed smokiem? Ach, nie, niech zgadnę! Haccliff chciał ją pożreć?

– Poniekąd. Sprawilem tym radość dziecku.

– Je też Haccliff chciał pożreć?

– Też poniekąd.

– Czemu mi to mówisz?

– Chciałem sprawdzić, co na to powiesz.

– Biedaku! – westchnęła księżniczka, odrywając na moment spojrzenie od dalekich krajobrazów mody. – Zrozum wreszcie, że nie będę twoja. Nigdy. Moje serce należy do innego mężczyzny i tylko jemu będę wierna!

Vidoczek musiał przyznać, że Melidranna jak mało kto potrafiła wywołać w nim uczucie irytacji tym trzymaniem się w kółko jednego tematu. Przychodził do niej poruszyć tematy odwiecznych zmagania dobra ze złem w ludzkiej duszy, a ona natychmiast sprowadzała dyskusję do swego romansu.

Cały pożytek z tych rozmów był taki, że ilekroć zaczynały kiełkować w nim wątpliwości dotyczące własnego charakteru, rozmowa z nią sprawiała, że wychodził z komnat księżniczki zły. Właściwie nawet wściekły.

Nie inaczej było i tym razem. Pożegnał się chłodno, odwrócił i wyszedł.

Na schodach znów zastanawiał się, czy ważniejsza jest intencja, czy efekt.

Melidranna odczekała, aż ucichną kroki maga, i dopiero wtedy pozwoliła sobie na ciężkie westchnienie.

– Biedny, on chyba naprawdę się we mnie kocha! – podzieliła się wątpliwościami ze zwierciadłem.

Obrazy modnych fryzur natychmiast zniknęły. Na moment zastąpiło je prześliczne odbicie księżniczki opierającej podbródek na złożonych dłoniach. Zaraz jednak i ono zmętniało, ukazując zwyczajną twarz zwierciadła, czyli najnormalniejsze ni to, ni sio.

– Jest zły! – przypomniało. – Wszystko to robi, by cię oszukać!

– Ale owieczka...?

– Pożarł ją żywcem na oczach szlochającej dziewczuszki. Błagała go, a on tylko się śmiał.

– Potwór! – szepnęła Melidranna, blednąc.

– Potwór! – zgodziło się chętnie zwierciadło. – Pokazać ci, jak to wyglądało?

– Proszę, nie! – rozpląkała się na myśl o pożeranej owieczce i skrzywdzonym dziecku.

Niespodziewanie podbiegł do niej pełen dobrych chęci kandelabr. Spróbował uspokoić dziewczynę, głaszcząc ją po głowie. Grupa glinianych kubków ustawiła się w niezgrabną piramidę i zanuciła mile brzmiące murmurando. Ze wszystkich zakątków pokoju zbiegły się służące Melidrannie przedmioty, starając się pocieszyć ją bądź rozśmieszyć. Co zuchwalsze z nich posyłały zwierciadłu pełne wyrzutu spojrzenia.

Księżniczka uśmiechnęła się przez łzy. Zdumiewało ją, jak szybko zjednywała sobie sługi Vidoczka.

Przecież – była o tym przekonana – mag otoczył ją nimi dla własnych celów.

Całe szczęście, że zwierciadło, podobnie jak wszystkie inne stworzenia i ożywione przedmioty na świecie, natychmiast się w niej zakochało. Dzięki temu pomagało jej, ostrzegając przed kolejnymi pułapkami czarownika, i ujawniało przed nią jego zdrady i okrucieństwa. Gdyby nie to, być może dałaby się oszukać magowi, który, jeśli chciał, potrafił być zwodniczo miły, a nawet sympatyczny. Prawie uwierzyła, że zdoła go odmienić, jeśli pozwoli mu się kochać. Ale teraz, kiedy pożarł żywcem biedną owieczkę...

Pomoże go pokonać! Dzięki zwierciadłu wiedziała, że wśród uwięzionych przez maga nieszczęsnych duchów dojrzewa spisek, który ma zaowocować ich uwolnieniem. Do buntu przeciw czarnoksiężnikowi przyłączyć się miały także uprowadzone przezeń dzieci, przemocą zmuszane do nauki plugawych czarów. Kto wie, może nawet Haccliff, w którym pod wpływem rozmów z Melidranną zaczynały budzić się dobre uczucia, przyłączyłby się do walki?

– Och, miły panie Kwoko, gdybyś ty tu był! – westchnęła.

– Musisz pokonać demony maga – przypomniało zwierciadło. – Potężniejsze są od wszystkich innych istot w wieży, z wyjątkiem samego tylko Vidoczka. I nikt, prócz istoty czystego serca, nie stawi im czoła! Czy będziesz w stanie spełnić ten szczytny czyn?

W szufladzie sekretarzyka spoczywał srebrny sztylet dostarczony jej przez tajemniczego przyjaciela zwierciadła. Melidranna wielokrotnie brała go do ręki, zastanawiając się, czy, gdy przyjdzie co do czego, będzie umiała zadać cios. Ilekroć ogarniała ją wątpliwość, przywoływała wspomnienie panów Kwoki i Buhaja walczących na ulicach Barozek. Wtedy odwaga wstępowała w jej serce.

– Zrobię co do mnie należy! – oznajmiła zwierciadłu. – Ale kiedy nadejdzie ten czas?

– Już wkrótce! – zawołało uradowane. – Wkrótce!

Jego radość położyła się cieniem na duszy księżniczki. Potrzebowała czegoś, co pozwoliłoby jej zrzucić ciężar z serca. Długiej rozmowy z kimś bliskim albo...

– Pokaż mi jeszcze raz te fryzury! – poleciła.

Powinna czymś zaskoczyć i olśnić Kwokę, gdy wreszcie przybędzie ją ratować.

Głęboko, w jednej z piwnic, Składek zaniósł się szalonym śmiechem. Jakże łatwo przychodziło mu manipulować dziewczyną! Głupia ufność istot o czystych sercach nie przestawała go zdumiewać. Nieco kłopotów miał jedynie z włamaniem się do osobowości zwierciadła i opętaniem go. Odkąd jednak tego dokonał, mógł skutecznie sterować głupią ludzką samiczką, przy okazji korzystając jeszcze z niemałych możliwości zwierciadła.

Wszystko było na dobrej drodze. Haccliff stworzył grupę całkowicie oddanych sobie dzieciaków, które wyszkolił na magów ofensywnych niskiej klasy, Melidranna była już przygotowana do usunięcia z drogi pary przebrzydłych demonów – Puszczycowatego i Przywołanki, zaś krąg mający przyzwać Kościeja został niemal ukończony. Poddając się swej naturze, Składek zaniósł się dzikim, szalonym śmiechem i pobiegł do swego mistrza, by podzielić się z nim kolejną dobrą nowiną.

Wiele piętér wyżej Przywołanka podjęła wreszcie długo odwlekaną decyzję. Pozostawiła Puszczycowatego na straży kul i ruszyła rozmówić się ze złotą pannicą. Na schodach zawahała się, zatrzymała i odłożyła sprawę do rana.

Vidoczek, popijając sześćsetletnie wino, obserwował mieszaninę kształtów, w której miotał się jego niedokończony wzór. Coś zaczynało mu świtać.

Haccliff kończył rysunek krwawoczerwonego koła. Wpisane weń inskrypcje jarzyły się rubinowym światłem. Nekromanta odsapnęła z wysiłku i ostatnimi ruchami pędzla z włosów wisielca dokończył dzieła.

Brenka i jej owieczka długo rozmawiały przed zaśnięciem. Gdy skończyły, Brenka śniła, że to ona została przywołana do krainy puchatych, łagodnych stworzeń. Rankiem obudziła się nie do końca przekonana, kto w istocie kogo przyzwał.

Kwoka i Buchaj rozbili obóz zaledwie dwa dni drogi od Mrocznej Wieży.

Znużony natłokiem wydarzeń dzień położył się wreszcie spać. O świcie zbudziły go czyjeś krzyki. Przetarł zaspane oczy i rozejrzał się po okolicy.
– A to ci! – ziewnął. – Znowu się biją!

4

Przywołanka wyrwała tace ze śniadaniem jednemu z pomniejszych demonów, nabrała głęboko powietrza w płuca, by zaraz je wypuścić, pokazała drzwiom język, tupnęła, ofuknęła samą siebie i już naprawdę szykowała się do zapukania do drzwi, gdy otworzyły się same.

– Zdziwiły mnie te dziwne odgłosy – wyjaśniła nieco zaspana Melidranna w odpowiedzi na zdumione spojrzenie demonki.

– Śniadanie przyniosłam! – zawołała Przywołanka, szczerząc się nieco przerażająco.

– Mierognik zachorował?

– Poniekąd – bąknęła demonka, która wyrwawszy zaskoczonemu nieszczęśnikowi tacę, kopnęła go na tyle mocno, by spadł ze schodów. – Mogę wejść?

– Ależ oczywiście! Proszę ją postawić między kandelabrem a tą złotą misą.

Wskazane przedmioty rozsunęły się usłużnie. Przywołanka postawiła tacę, nie kwapiła się jednak do wyjścia.

– Bardzo ładnie urządzone pokój – pochwaliła.

– Och, wszystkie te kochane przedmiociki bardzo mi pomogły! – zawołała wesoło Melidranna. – Cieszę się, że się pani się podoba! To ogromnie miło spotkać nareszcie jakąś kobietę w tej ponurej wieży! Bo pani jest kobietą, prawda?

Specjalnie na okazję wizyty Przywołanka ubrała suknię w miarę odpowiadającą ludzkim normom.

Uczesła się też tak, aby możliwie ukryć rogi.

– Jestem – przyznała ostrożnie. – To znaczy, jestem, oczywiście, demonem. Ale kobietą. Mam na imię Przywołanka.

– Och, jak ślicznie! – zachwyciła się Melidranna. – Och, proszę mi wybaczyć! Zapomniałam o dobrych manierach! – Dygnęła ślicznie a wyszukanie. – Jestem Melidranna z Borsuczej Kniei. Córka Alandora, pana na Czarnej Pięści, księcia Barozek i Urhun, i pani Orietty, jego małżonki. Zechce pani usiąść, by towarzyszyć mi w śniadaniu?

O niczym innym Przywołanka nie marzyła.

Przy kawie i ciastkach poplotkowały sobie o tym, o czym młode dziewczęta plotkować uwielbiają, a potem pozadziwiały się nawzajem. Zaczęła Melidranna, pytając, czy to nie nazbyt straszne pracować dla takiego przerażającego i wstrętnego człowieka jak Vidoczek.

– Przerażający i wstrętny? – zastanowiła się Przywołanka. – Jest dość ekscentryczny, przynajmniej...
– Ekscentryczny! – dała się ponieść emocjom Melidranna. – Ależ to, co zrobił z nieszczęsną owieczką, trudno nazwać po prostu ekscentrycznym! To okropne!
– Z punktu widzenia Haccliffa z pewnością – przyznała demonka, uśmiechając się złośliwie. – Biedaczek, musiał obejść się smakiem. On i całe jego stadko marnodziejów.
– Kogo?
– Marnodzieje. Marni czarodzieje – wyjaśniła Przywołanka. – Jedynie ta mała jest tam coś warta. Dlatego dają jej w kość.
– Mała od owieczki? – pociągnęła złotym noskiem Melidranna. – Biedne stworzonko...
– Bo ja wiem, czy takie biedne? – wzruszyła ramionami Przywołanka. – Pewnie lepiej byłoby jej w stadzie niż tak samopas. Ale gdy widziałam ją dziś rano ganiającą wokół wieży, wyglądała na zadowoloną.
Melidranna spojrzała na nią z mieszaniną niedowierzania i radości.
– To znaczy, że ona żyje? – zawołała z wrażenia, zapominając o dobrym wychowaniu.
A potem sobie porozmawiały.
– Zwierciadło? – zapytała dobry kwadrans później Przywołanka. – Pozwolisz, że wezwę kolegę? Księżniczka pozwoliła.
– Na wszystkie radości! – Zaklął na wejściu Puszczykowaty, krążąc wściekle pod sufitem. – To jest, oczywiście, bardzo miło mi panią poznać – dodał szybko, widząc spojrzenie Przywołanki. Wylądował na stole i nawet uklonił się zdumiewająco elegancko. – W końcu.
– Jaki cudny ptaszek! – Melidranna aż klasnęła. – Czy to sówka?
– No ja sobie wypraszam, do cudownej miłości! – Nastroszył pióra. – Jestem uroczym demonem!
– Och, bardzo uroczym! – zgodziła się Melidranna i Przywołanka musiała prędko gasić awanturę w zarodku. Wyjaśniła Puszczykowatemu, że wpadła na trop kolejnego wymierzonego przeciw ich mistrzowi spisku. Demon, gdy dowiedział się, że Melidranna miała zamordować ich oboje, zarzucił księżniczkę stekiem wyjątkowo pięknych i poetyckich słów. Dał się jednak uspokoić i przekonać, że wszystko to jest winą Haccliffa i Składka. W efekcie Przywołanka musiała powstrzymać go przed próbą wywarcia natychmiastowej zemsty. Plan, który przedstawiła, przypadł demonowi do gustu. Odleciał, nawet uśmiechając się półdziobem.
Drzwi jeszcze nie zdążyły się za nim zamknąć, gdy pozostawione samym sobie panie podjęły rozmowę o męskich dziwactwach. Bardzo szybko roześmiały się serdecznie, niczym stare, dobre przyjaciółki.
– Tak to właśnie teraz będzie – mrucał do siebie Puszczykowaty, szukając pod sufitem kogoś z znajomych pajaków, które mogłyby mu powiedzieć więcej o zdradzie Składka. – Chichoty i szeptu. Na zachwyty!

* * * * *

Vidoczek i Haccliff przyglądali się uważnie kulom.
– Podsumujmy. Ten tutaj to Harnaś i ta jego... Jak jej tam...
– Olianna, córka Irlenda Czerwonego, mistrzu.
– No tak. Oni, z tego, co wiemy, idą pomóc Kwoce i Buhajowi, bo temu ze złamanym nosem honor tak kazał...
– Hej! – huknęło z wnętrza pokazującej Harnasia kuli.
Magowie aż się wzdrygnęli.
– Tyle biała kula – kontynuował po chwili Vidoczek. – Na zielonej idzie za nimi jakaś banda...
– To zbójnicy, panie! Idą prowadzeni przez nowego... eeee, Harnasia?
– Harnasiówę?
– Harnasiówę, mistrzu. Chyba chcą odzyskać córkę Harnasiówy.
– Tę tam...
– Katkę. Jedzie za Kwoką i Buhajem. O tu, w niebieskiej kuli.
– Tak jest. No, to zielona i niebieska zaliczone. Możemy ich policzyć za zwolenników naszych barbarzyńców. Kogo mamy po swojej stronie?
– Tych dwóch, mistrzu, z fioletowej kuli. Oni byli...
– Tak, wiem. Ale moim zdaniem to niewiadoma. Zetknęli się z kimś z zamglonej kuli, nie wiemy, co teraz nimi kieruje.
– Rzekłeś, mistrzu.

– To już prędzej ten. – Vidoczek stuknął długim palcem kulę błyszczącą rubinowo. – On chce się mścić. Ten...

– Errylian di Crogniac, hrabia Dikonutti i Bomridii, mistrzu.

– No tak. Nie mam pamięci do imion – westchnął Vidoczek. – On i ten jego pomocnik...

– Rządca Jaśniepana, mistrzu.

– Ich raczej mamy po naszej stronie. Mieszkaniec zamglonej kuli to też niewiadoma. Obawiam się, Haccliff, że nie zyskaliśmy wielu stronników naszej sprawy.

– Jest jeszcze Czarny Rycerz, mistrzu! To znaczy... Czarni Rycerze! Też tu zmierzają.

– Ach, prawda, ci...

– Ringweid z Siwego Lasu, syn Arlinga Złotowłosego, pana Sowiego Krzyku, i Borgerd z Pastuszej Góry, mistrzu.

– Oni raczej opowiedzą się za Kwoką i Buhajem, Haccliff.

– Nie może być, mistrzu! Wiąże ich twoja magia!

– Istnieją czary starsze i silniejsze od moich, Haccliff. Nie znasz tajemnicy niewiewiórczego herbu, prawda?

– Nie znam, mistrzu. Zdradzisz mi ją?

– Wtedy rycerz... jak mu tam... Ten od wiewiórki...

– Ringweid z Siwego Lasu...

– Tak, tak, on. Wtedy musiałby cię zabić, Haccliff. A tego byśmy nie chcieli, prawda?

– Nie chcielibyśmy! – przyznał Haccliff, potakując gorliwiej nawet niż zwykle.

– Właśnie. Podsumujmy więc. Mamy dwóch sprzymierzeńców, dwie niewiadome i cały tłum przeciwników. W tym kilku niezłych. Na przykład matka tej...

– Katki, mistrzu?

– Właśnie, ona. I wszyscy będą tu jutro. Musimy być gotowi, Haccliff!

– Mistrzu, mam pomysł... Mogę?

– Zamieniam się w słuch, Haccliff.

– Uwolnię wszystkie swoje szkielety i ożywieńców, mistrzu! Szkaradnych, gnijących umarłych, roznoszących choroby i zepsucie! Oni będą naszą armią!

– Wielu ich masz, Haccliff?

– Czy to wątpliwość w twoim głosie, mistrzu?

– Haccliff, przyznaję, że nie widziałem, byś unicestwił jakieś armie w pobliżu mojej wieży.

– Panie! – głos nekromanty aż drżał od urazy. – Zapewniam cię, że przez dziesięciolecia wiernej ci służby zabiłem...

– Haccliff, bądźmy szczerzy. Jediną istotą, jaką zabiłeś, był ten szczur, który posłużył ci do zdobycia mocy wiążącej kawałki Składka. Płakałeś po nim przez dwa tygodnie.

– Mistrzu!

– Tak było.

– Byłem wtedy młody!

– Prawda. Ale od tamtej pory wszystkie ofiary składa za ciebie Składek. Odwracasz przy tym wzrok. Skąd wzięłeś swoją armię nieumarłych?

– Ciągłe giną różni po górach – wyznał niechętnie Haccliff, odwracając wzrok. – Nikt ich nie szuka. A czasem pożyczę coś z cmentarza ze wsi... Takie tam. Zebrało się ich trochę. Przez te wszystkie lata tak ze dwie setki.

– Twoja przedsiębiorczość jest godna podziwu, Haccliff. Przygotuj ich. Powinni być gotowi z samego rana. No dobrze, zerknijmy na naszych bohaterów.

– Biją się, mistrzu.

– Mhm, no tak. Udaję się do swego gabinetu, Haccliff. Zajmij się wszystkim.

– Tak, jest, mistrzu! Mistrzu, czy mogę o coś zapytać?

– Co cię gryzie, Haccliff?

– Mistrzu, proszę o wybaczenie, ale gryzie mnie to od samego początku. Wiem, że to zbytnia śmiałość...

– Haccliff!

– Po co właściwie porywałeś tę małą, mistrzu?

Przez kilkanaście sekund wielki mag i jego sługa spoglądali na siebie w milczeniu. Wreszcie Vidoczek odpowiedział:

– Takie było życzenie Ojca Ciemności, Haccliff.

– Dziękuję, mistrzu! – pokłonił się nekromanta. Odczekał, aż mag wyjdzie, a wtedy zatarł ręce z radości.

Przywołanie armii ożywieńców pozwoli mu zamaskować ostatni akt wezwania Kościeja. A wtedy, gdy Vidoczek będzie osłabiony walką z barbarzyńcami, Kościej poradzi sobie z nim bez trudu.

I skończy się nabijanie z drobnych słabości nekromanty!

– Jeszcze się doczekasz! – zasyczał mściwie Haccliff i pobiegł na spotkanie ze swoimi uczniami. Miał dla nich zadanie specjalne, swego rodzaju plan awaryjny, gdyby Kościej jednak zawiódł.

Podczas lat służby nauczył się doceniać swego mistrza.

Vidoczek wrócił do gabinetu wściekły. Po co porwał księżniczkę! Też coś!

Po co ją wezwał! Bezcelny typ z Haccliffa!

Ale po co właściwie ją porwał?

Odetchnął kilka razy głęboko. Klasnął i usłużny imbryk przybiegł pospiesznie na jego wezwanie.

– Gorąca herbata – polecił mu. – Mocna.

Dwa łyki pozwoliły mu się uspokoić.

Po co właściwie ją porwał?

Nie powiedział Haccliffowi całej prawdy, ale i nie okłamał go. Rzeczywiście, Ojciec Ciemności domagał się ofiary z dziewicy szlachetnej krwi. A złota księżniczka stanowiła szczególnie łakomy kąsek. W istocie jednak Vidoczek zlekceważyłby te mroczne fantazje, gdyby życzenia Ojca Ciemności nie zbiegły się przypadkiem z jego własnymi dążeniami. W równaniu istniała pewna szczególnie drażniąca niewiadoma, dla rozwiązania której Vidoczek musiał rozpisać osobne podrównanie. Z obliczeń wynikało, że potrzeba mu jakiegoś typowego, stereotypowego uczynku, który wzbudziłby cały szereg działań. Porwanie księżniczki, na pomoc której wyruszyliby jacyś bohaterowie, pasowało.

Teraz jednak symbole równania wręcz szalały, niewiadomych pojawiła się spora grupa, a za wszystkim tym stała niedojrzała pannica i dwóch prymitywnych machaczy mieczami. Linia losu na towarzyszącym równaniu wykresie Vidoczka falowała. Momentami wydawało się nawet, że usiłuje znajdować się w dwóch różnych pozycjach równocześnie. Co gorsza, od czasu do czasu jej się to udawało.

Mag zastanawiał się nad tym aż do wieczora. Aż wreszcie, wyczerpany, zasnął.

5

– Jedzie za nami?

– Cały czas.

– Myślałem, że jej przygadałem do słuchu!

– Masz na myśli swoje stanowcze: „tego... więc właśnie... gdybym...to może...”?

– Mam na myśli końcowe: „won!”

– Buhaj, przyjacielu, przez tyle lat powinieneś być się nauczyć czegoś o kobietach.

– Wiem wszystko o kobietach!

– Wiesz, jak je zdobywać, nie przeczę. Ale co wiesz o pozbywaniu się ich?

Wzrok Buhaja powędrował na moment ku głowni miecza.

– No więc...

– No więc nie wiesz nic. Zawsze po prostu uciekałeś o świcie.

– Ruszałem w drogę! Przyzywał mnie ten...

– Zew przygody.

– No, on.

– Przyjacielu, posłuchaj rady człowieka, który uniknął większej ilości romansów, niż ty ich zaliczyłeś...

Co się śmiesz?

– He... A nic, zgadzam się z tobą.

– Taaa... Czym jest kobieta, Buhaj?

Czarny rycerz uśmiechnął się w odpowiedzi szeroko a treściwie.

– To też. Przede wszystkim kobieta jest istotą działającą wbrew normalnym zasadom. Jak kot. Co robi kot, gdy go odpychasz?

– Kona.

– Założmy, że przeżył.

– Zdziwiasz mnie, Kwoka.

– Dobra, powiem krócej. Im bardziej kota odpychasz, tym bardziej się do ciebie przymila. Z kobietami

jest tak samo. Nie wiesz tego, bo jeszcze nigdy żadnej nie odepchnąłeś. Aż dotąd. Buhaj potrzebował chwili, by to przemyśleć.

- Podumałem, Kwoka, i chyba już wiem, o co ci chodzi.
- Wspaniale.
- Obrażasz mnie, co?

* * * * *

Haccliff obudził się na długo przed świtem. Drżał. Powtórzył po raz kolejny cały plan. Najpierw wypowie ostatnie słowa wezwania, wydobywając spod ziemi armię ożywieńców. Kiedy Vidoczek skupi się na bitwie, on, przy pomocy tego samego kręgu, w którym dokonał drobnych, trudnych do odkrycia modyfikacji, wezwie Kościeja, by w jego towarzystwie zaatakować i zabić czarnoksiężnika. W tym samym czasie złota dziewczyna pozbędzie się pary najwierniejszych Vidoczkowi demonów. A gdyby coś poszło nie tak... Wtedy zadziała as w rękawie.

I Haccliff zostanie panem wieży! Co, przecież należy mu się od lat!

Musiał przyznać, całkowicie bezstronnie, że jest znacznie lepszy, to znaczy, oczywiście, gorszy od Vidoczka. Może niegdyś jego obecny mistrz był rzeczywiście przerażająco, zimno nieludzki. Jednak w ciągu ostatnich kilku lat wyraźnie się zmienił. Badania pochłoneły go tak bardzo, że aż zapomniał o istocie zła. Kłamstwo – mawiał. – A cóż to jest „kłamstwo”, Haccliffie? Ułożyłem już trzy, nie do końca zgodne definicje kłamstwa. A zło? Czy zło można stopniować? A jeśli tak, to czy to najmniejsze zło jest już złem, czy zaledwie mniejszym dobrem? Bo czy zło jest całkowitą odwrotnością dobra, czy też istnieje pomiędzy nimi jakiś punkt wspólny? Na przykład ty, Haccliffie, gdy usiłujesz mi szkodzić, choć czynisz to z jak najpodlejszych intencji, przysługujesz się w istocie dobru, walcząc z kimś tak złym jak ja. Jesteś więc dobry czy zły?

Haccliffowi od takiego gadania robiło się niedobrze. Zło to zło. Koniec, kropka. Jak tylko zabije mistrza, skończą się te wymądrzalskie brednie. Zabije mistrza, więc jest... jest...

Dostał dreszczy na myśl, że mógłby być dobry.

Nie! Mistrz zrobił się słaby, miękki! Nie zabił złotej dziewczyny, zwleka z uwolnieniem Ojca Ciemności, by pograżyć świat w mroku i cierpieniu. Pozwala tej durnej demonicy wpatrywać się w siebie maślanymi oczami.

Nie! Haccliff zabije go i to będzie złe! A nawet jeszcze gorsze!

Uspokojony tą myślą, obrócił się na drugi bok.

Dzisiaj pokłoni się przed Ojcem Ciemności! Ha!

Po chwili zerwał się na równe nogi, narzucił na siebie najczarniejszą z szat i pognał do komnaty kul, by z jej obszernego tarasu spojrzeć na pole bitwy.

Ku swemu rozczarowaniu zastał na miejscu Vidoczka.

– A, jesteś wreszcie – wzburzył go od samego początku czarnoksiężnik wyglądający przez okno. –

Zaczynaj przywołanie. Ci dwaj przybyli wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Ich sojuszników, na szczęście, jeszcze nie ma. Nie licząc tej tam...

– Katki, mistrzu – zgrzytnął zębami Haccliff.

– Właśnie. No, pokaż, co potrafisz, Haccliffie. Na razie tylko gęby porozdziawiali ze zdumienia, ale za chwilę im minie.

Haccliff wkroczył więc w środek kręgu, przymknął oczy i zaintonował mamrocząco-charczaną mroczną pieśń.

Składek uruchomił swoje połączenie ze zwierciadłem. Rzucił okiem na wnętrze komnaty księżniczki. Oczywiście spała. Ech, te arystokratyczne smarkule! Kiedy już będzie po wszystkim, zajmie się nią osobiście! Może nawet weźmie sobie jedną z jej nóg i poprosi Haccliffa, by dodał ją do Składkowego korpusu.

Zapisał, by obudzić dziewczynę.

Zajęło mu to chwilę, ale wreszcie się ocknęła. Oczywiście musiała odprawić cały rytuał przeciągnięcia i ziewnięcia, nim doczołgała się do zwierciadła.

– Juuuuż? – zasłoniła usta. – Tak wcześnie!

– O najśodsza! – zaniósł się lamentem Składek. – Pospiesz się! Twój wybawca jest już blisko! Musisz

czym prędzej wezwać demony, by umożliwić mu pokonanie czarnoksiężnika!

– Aha! – pokiwała potulnie głową. – Właściwie jeden z nich już tu jest.

– No to szybko! Rach-ciach!

Księżniczka odsunęła się od zwierciadła. W jej miejsce pojawiła się uśmiechnięta szeroko twarz Przywołanki.

– Rach-ciach? – spytała.

Jej widok zaniepokoił Składka. Spróbował jednak jeszcze zmobilizować księżniczkę do działania.

– Teraz! – zawołał.

Wtedy Przywołanka uśmiechnęła się wyjątkowo złośliwie i wypowiedziała słowo, które sprawiło, że zwierciadło zaczęło wciągać Składka do swego szklanego wnętrza.

– Mistrzu! – zawołał, widząc, że wpadł w pułapkę. – Mistrzu, na pomoc!

* * * * *

– Imponujące – ocenił Vidoczek, przyglądając się ożywionej armii. – Szkoda, że nie pomyślałeś, by ich w coś uzbroić. Niemniej przewaga liczebna to już coś. Jest ich więcej niż dwustu.

– Staralem się, mistrzu! – uśmiechnął się przymilnie Haccliff. Nie opuścił kręgu, lecz umknęło to uwadze Vidoczka. – Postarałem się też o gęstą mgłę, w której ich nie widać. To da im możliwość zaskoczenia tych dwu.

– Wspaniale, mój drogi Haccliffie. Jestem pełen podziwu dla twojej przemyślności – pochwalił go czarnoksiężnik i wyszedł na taras.

Wtedy Haccliff prędko wyśpiewał ostatnie zaklęcie, nad którym pracował od dziewiętnastu lat.

Temperatura w komnacie gwałtownie spadła, zgasły wszystkie świece, pękły szklane kule i nagle tuż przed nekromantą pojawił się olbrzymi, sięgający stropu szkielet. Przybrany był w karmazynowo złote szaty, jego czaszkę zdobiła szczerozłota korona zdobiona lśniącymi diamentami. W dłoni dzierżył długi obosieczny miecz o szerokim ostrzu.

Na Haccliffie zrobił wrażenie zagniewanego.

– Tam! – zawołał nekromanta drżącym z przejęcia głosem. Wskazał Kościejowi Vidoczka. – Ja, twój pan i mistrz, każę ci zabić tamtego człowieka!

Kościej, pełniący w dalekich, wschodnich krajach obowiązki bezlitosnego władcy, nie był zachwycony sytuacją, w której się znalazł. Niemniej nie potrafił, tak od razu, przełamać wiążącego go czaru. Uznał więc, że zabicie jednego z magów przynajmniej pozwoli mu ostudzić emocje.

Trochę zdziwiło go, że ofiara obróciła się ku niemu i uśmiechnęła z wyraźnym zadowoleniem.

– Słynny Kościej, jak sądzę! – ukłonił się Vidoczek. – Nareszcie! Haccliffie, przyznaję, że tym razem przeszedłeś sam siebie.

– Śmieję się, śmieję, ty... ty... Ty słaby magu! – wyrzucił z siebie uradowany nekromanta. – Wiedz jednak, że przyzwałem Kościeja, by zabił cię tu, na moich oczach! Nic ci już nie pomoże, bo jest to istota nieśmiertelna! Teraz ja będę panem wieży! Zabij go, Kościeju! Zabij go szybko, nim coś wymyśli! Przywołany uśmiechnął się z upiornym politowaniem. Cóż można wymyślić przeciw Kościejowi?

– No, tak do końca nieśmiertelny to on nie jest. – Ku niepokojowi Haccliffa Vidoczek przybrał swój mentorski ton, typowy dla sytuacji, gdy zamierzał natrzeć swemu pomocnikowi uszu. – Jedynie trudny do zabicia.

– Już to słyszałem – odezwał się wreszcie Kościej. – Od rycerzy, królów, barbarzyńców, bohaterów i żołnierzy. Teraz ich kości są częścią moich.

– Oczywiście. – Pokiwała głową czarnoksiężnik. – A czy któryś z nich uzbrojony był w to?

Wrócił do komnaty z tarasu. Teraz Haccliff dostrzegł Puszczycowatego siedzącego mu na ramieniu. Demon wypuścił z dzioba na wyciągniętą dłoń maga coś, co załśniło metalicznie w pierwszych promieniach wschodzącego słońca.

– Igła! – zawołał nekromanta rozpoznając małe przedmiot. Zachichotał nerwowo. – To tylko igła! Ku jego zdziwieniu Kościej zadrżał.

– Błefujesz, kłamliwy łotrze! – ryknął.

– A skąd! – zaskrzeczał Puszczycowaty. – Śliczniutka igła! Wiesz, ile się jej naszukałem w pięknych stogach kochanego siana?

Wtedy Kościej ryknął i skoczył ku Vidoczce. Temu starczyło jednak czasu, by złamać igłę, w wyniku czego przerażający Kościej rozsypał się zupełnie nie widowiskowo w niegroźny stos kości.³

Pozbawiony właściciela miecz upadł z brzękiem na podłogę.

Obaj magowie spojrzeli na smętne pozostałości dumnego kościstego władcy z zupełnie odmiennymi uczuciami malującymi się na obliczach.

– Kościej zamknął swoje serce w igle, a tę ukrył w stogu siana ustawionym pośród setki mu podobnych – wyjaśnił Vidoczek. – Wystarczyło znaleźć tę igłę, by go zniszczyć.

– No, takie radośnie proste to to nie było! – uznał za stosowne przypomnieć o swych zasługach Puszczycowaty.

– Myślisz, że to koniec? – wrzasnął wyprowadzony ostatecznie z równowagi Haccliff. – Myślisz, że jesteś taki sprytny? Ale to nie koniec! Mam ja jeszcze asa w rękawie! Mam!

– On mówi o tym, że złota księżniczka miała zabić Przywołankę i mnie – wyjaśnił, pusząc się dumnie, Puszczycowaty. – Ale już to załatwiliśmy. Nie mówiliśmy ci o tym, mistrzu, bo nie było o czym. Złota pomogła nam uwięzić Składka.

Tego było już dla Haccliffa za wiele.

– Wy głupcy! – zawył. – Wy myślicie, że mnie pokonaliście! Ale ja, Haccliff z Grzmiących Toni, mag i nekromanta, przyszły pan Mrocznej Wieży, posłałem swych uczniów, by uwolnili Ojca Ciemności! I on, już za moment, zmiażdży was obu! A po was cały świat!

I roześmiał się szaleńczo, widząc ich zdumione, pełne niedowierzania twarze. I śmiał się, śmiał, aż wreszcie jego śmiech przeszedł w szloch, gdy mijały długie minuty i nic się nie działo.

– Ich też dopadliście? – zapytał wreszcie ochryplym głosem.

Cień nadziei zaświtał w jego mrocznym sercu, gdy zorientował się, że są równie zdumieni i zatrwożeni jak on.

Oško spojrzął na kolegów i zasugerował, że godzina, o której miał do nich przybyć Składek, już minęła. I że może powinni coś zrobić.

– Zamknij się, szczeniaku. – Umir, wysoki blondyn przewodzący grupie, spojrzął na niego z wysokości swych stu sześćdziesięciu centymetrów. – Już dawno o tym pomyślałem!

No jasne, pomyślał z powątpiewaniem Oško, ale nie powiedział nic. Umir przewyższał go wzrostem i siłą, w wyniku czego, co naturalne, był od niskiego, pulchnego Oški oficjalnie mądrzejszy i sprytniejszy. W każdym razie Oško nigdy nie odważyłby się poddać tego w wątpliwość.

– To co teraz? – zapytał Gcek, tylko nieco silniejszy od Oški. Ze wszystkich sił dbał o zachowanie przyjaźni z przywódcą. – Co teraz zrobimy, wodzu?

– Teraz... – Umir zawiesił głos, stopniując napięcie. Wreszcie sam go nie zniósł i szturchnął ze złością Oškę. Posiadał wprawdzie przynależną władcom i zdobywcom umiejętność podejmowania decyzji, jednak czasem potrzebował porady.

– Powinniśmy pójść sami? – podpowiedział Oško.

– Pójdziemy sami! – ogłosił natychmiast Umir. – Przełamanie pieczęci to dla nas nic!

I poszli. W im głębsze zapuszczali się piwnice, tym bardziej gasły w nich zapał i bojowy duch. Umirowi jednak nie wypadało teraz wydawać rozkazu odwrotu. Mógłby wprawdzie obciążyć w oczach podkomendnych odpowiedzialnością Oškę, jednak skóra na nim cierpła na myśl, co powiedziałaby o niepowodzeniu mistrz Haccliff. Żałował teraz, że nie zabrali ze sobą tej zarozumiałej dziewczyny. Po prostu stoczyliby ją schodami na dół i kazali zrobić, co trzeba. Ale ona zamknęła się w swoim pokoju z tą kretyńską owcą i za nic nie chciała wyjść.

A im jakoś nie wyszło przełamywanie barier, którymi się zabezpieczyła.

Ostatnie osiem stopni pokonali wyjątkowo powoli i ostrożnie. Częściowo dlatego, że nie sprawiały wrażenia godnych zaufania.

Ponieważ żaden z nich nie potrafił zdobyć się na otwarcie ostatnich drzwi, Umir po prostu pchnął Oškę tak, by chłopak zatoczył się na nie.

Wkroczyli do mrocznego i ponurego wnętrza, pośrodku którego tkwiła przyczajona studnia. Cisza panująca wokoło należała do takich, od których człowiek łatwo może ogłuchnąć.

I cała wypełniona była oczekiwaniem.

– Sześć pieczęci, a nas jest pięciu – szepnął wreszcie Oško.

– Słusznie! – wyrwał się przed szereg, nawet ku własnemu zdumieniu, Gcek. – Nie udało się, spadajmy!

Trzy głowy przytaknęły gorliwie jego słowom.

Wtedy jednak dziwaczny poryw brawury wypełnił serce Umira, zwykle odważnego tylko wobec mniejszych i słabszych.

– Tchorze!- zawołał. – Patałachy! Oto przed nami szansa na prawdziwy, wielki czyn, a wy byście chcieli uciec! Baby jesteście, nie czarnoksiężnicy! Każdy rozbije młotkiem (mam nadzieję, że wszyscy wzięliście ze sobą młotki) jedną pieczęć, a ja stanę, tak, by rozbić dwie równocześnie! I, na wszystkie demony piekieł, dokonamy tego!

Postąpił ku studni, a podkomendni, chcąc nie chcąc, ruszyli za nim.

– Ale młotków ciągle mamy tylko pięć – odważył się zasugerować Ośko.

– Typowe szczeniackie tchórzostwo! – prychnął Umir. – Strzaskam pieczęć kamieniem. O, jest jakiś... No to: na trzy. Raz, dwa... Trzy!

Pięć młotków i jeden kamień uderzyło w gliniane, chronione zakłęciami pieczęcie i strzaskało je.

Chłopcy natychmiast rozpiezchli się na wszystkie strony. Przy studni pozostał jedynie Umir, którego nienaturalna odwaga dopiero zaczęła opuszczać.

Macka mroku ciemniejszego i zimniejszego niż wszystko, co zdołałby sobie wyobrazić, zgarnęła go w nagrodę i wessała do wnętrza studni.

Pozostali uczniowie czarnoksiężnika nie potrzebowali więcej dowodów na sukces swego przedsięwzięcia.

Wrzeszcząc przeraźliwie, uciekli z piwnicy.

W niej tymczasem, na krawędzi studni pojawiła się dłoń. Dołączyła do niej druga i po chwili ciało czegoś, co już nie było Umirem, wyskoczyło na świat. Aż kipiało od ciemności. W głębi jego umysłu mały chłopiec piskliwie domagał się spotkania z mamą.

Ojciec Ciemności ignorował go.

WITAJ ŚWIECIE! – ogłosił. – **OTO JESTEM!**

Szybko ruszył ku wyższym korytarzom wieży.

A na nich świat przywitał go meceniem.

Dziewczynka i owca nie wyglądały groźnie, jednak Ojca Ciemności onieśmielił nieco fakt, że nie uciekają.

SŁUŻYSZ ZDRAJCY VIDOCZKOWI? – zapytał. – **CZY PRZYSZŁAŚ MI ZŁOŻYĆ HOŁD? MARNATA TWOJA OFIARA, ALE MOŻE POZWOLĘ CI ŻYĆ...**

– Ona mówi, że pan nie przejdzie – odparła Brenka głosem pełnym pewnością wynikającej z niezachwianej wiary w cuda.

Ojciec Ciemności roześmiał się w odpowiedzi. Nawet cegły w ścianach miały ochotę uciec, słysząc ten śmiech. Nawet czas pomyślał, że właściwie miło byłoby znaleźć się gdzieś indziej. Nawet ciekawość przyczajonych za zakrętem korytarza, podsłuchujących chłopców, choć nieposkromiona, bo dziecięca, przeżywała ciężkie chwile w cieniu tego śmiechu. Nawet...

Tylko Brenka ani drgnęła.

A KIMŻE TO COŚ JEST, ABY MI SIĘ PRZECIWSTAWIAĆ?

– Przywołałam ją – pochwaliła się dziewczynka. – Właściwie okazało się, że trochę przywołała się sama, a nawet trochę przywołała mnie, tylko tutaj. Bo wie pan, ja nie mam wielkiej wprawy w przywoływaniu, właściwie to mój pierwszy raz i ona mi tak jakby trochę pomogła albo nawet...

DOŚĆ!

Ignorując obrażoną minę dziewczynki, Ojciec Ciemności pochylił się nad owcą, uznawszy, że to jest istota ważniejsza. Owca odwzajemniła jego spojrzenie i nawet uśmiechnęła się nie do końca po owczemu.

TO TY! – ryknął Ojciec Ciemności, prostując się gwałtownie. – **TY! ŚMIESZNY, NIC NIE ZNACZĄCY PATRONEK!**

– Właściwie to nawet tylko jeden z aspektów – przyznała owca.

– Ten najmiłszy, proszę pana! – wtrąciła się ochoczo Brenka. – Dlatego nazwałam ją Miła!

Ojciec Ciemności mocno zazgrzytał Umiarowymi zębami, gdy tłumaczył dziewczynce, co może zrobić z swoim talentem do nadawania imion. Brenka i Miła spąsowiały.

NĘDZNY ASPEKCIE POMNIEJSZEGO BÓSTWA! – nadał się Ojciec Ciemności. – **ZMIAŹDŹĘ CIĘ! KIMŻEŚ JEST, ABY STAWAĆ MI NA DRODZE!**

– Kimś, kto dużo ćwiczył przez te tysiąclecia, kiedy ty gniłeś na dnie swojej studni – odparł wesoło najmiłszy aspekt boga-patrona pasterzy. – No, kończmy to, mam ochotę pobrykać z Brenką na łące!

I zakoflowało się! Miła meczała, Ojciec Ciemności ryczał, a Brenka dodawała różnym pokrzykiwaniem otuchy swojej faworytce.

Walka trwała zdumiewająco krótko. Ledwo się zaczęła, a już Umir siedział na podłodze i popłakiwał

cicho, a chmura mroku i grozy czmychała do piwnicy przed rozpędzonym białym kłębkim wełny. Brenka odetchnęła z ulgą. Jej koledzy ze szkoły nie byli pewni, czy powinni podzielać jej uczucia, czy wręcz przeciwnie.

Starożytnym pajęczym szlakiem na suficie dwaj przedstawiciele producentów pajęczyn spieszyli ku Puszczycowatemu, by donieść mu o rezultacie pojedynku.

6

Zbliżał się czas rozstrzygnięć.

Z północy nadjechał Harnaś ze swą lubą. Ukryli się w cieniu sosen i przepuścili grupę zbójników prowadzoną przez potężną i skorą do gniewu Harnasiówę. Gdy minął ich ostatni ze zbójników, ruszyli ostrożnie za nimi.

Traktem biegnącym od wschodu dotarli pod Mroczną Wieżę dwaj rycerze złączeni chwilowo pod czarnym proporcem, któremu postanowili nie dochowywać wierności.

Wkrótce po nich przybył pewien fircyk na koniu wartym siedem wiosek.

Wszyscy oni, a także dwaj podejrzenie wyglądający mężczyźni ukryci w krzewach oraz Baba Jaga ze swej miotły i tajemniczy przybysz wędrujący w ukryciu magicznego cienia, i nawet triumfujący, acz zamyślony Vidoczek w towarzystwie drżącego o swą przyszłość Haccliffa przypatrywali się z mieszanymi uczuciami parze bohaterów, którzy przybyli tu rzucić wyzwanie potężnemu czarnoksiężnikowi.

Wzmocniona magią poranna mgła opadała wreszcie, odsłaniając obszarpaną, lecz budzącą grozę armię ozywieńców zagradzającą drogę do wieży.

Na ich tle Kwoka i Buhaj, potężni i straszliwi w swym gniewie, kotłowali się na trawie, walcząc zawzięcie z powodu znanego tylko im dwóm.

¹ Cokolwiek znajome to jego postrzeganie świata.

² Ludzie i byłe demony mogą „wybuchać śmiechem”. Ojciec Ciemności wyłącznie buchał.

³ Daleko, daleko stamtąd, za sporą ilością gór, rzek i lasów, najmłodszy syn wielodzietnej rodziny wracał zrezygnowany ze swej wyprawy, która miała przynieść wybawienie jego kraju spod rządów tyrana Kościeja. Spędził lato na przeszukiwaniu wszystkich istniejących w kraju stogów siana, by wreszcie dojść do wniosku, że nie ma co wierzyć w bajki i trzeba jakoś ułożyć sobie życie. Trudno, ożeni się z Wierą, córką piekarza, zamiast z królowną.

Jakże zdumiał się ów młodzieniec, gdy wróciwszy do wioski odkrył, że wszyscy mają go za bohatera, a królowna, cała w pałaszach, czeka już na niego w świątyni. Gdy zorientował się, że przypisuje mu się sławę pogromcy Kościeja, dowiedział, że nie zasłużył niczym na przypisywane mu dotąd miano głupiego prostaczka, i czym prędzej zgodził się przypisać wszystkie zasługi sobie.